

Hitlerowska okupacja Czechosłowacji zapoczątkowana 15 marca 1939 stanowi dla bratniego narodu czeskiego i słowackiego okres ciężkich doświadczeń. Dziejom tych sześciu lat poświęcony jest artykuł o okolicznościowy Jerzego Hłusicki z agencji „Pragopress” w Pradze.

Pada śnieg z deszczem. Po rozmokłych szosach, przez opustoszałe ulice czeskich miast i wsi suną hitlerowskie, pancernie kolumny. Wojska napastnika ciągną od granicy ku samemu sercu Czech — ku Pradze. Zaskoczeni i zdradzeni Czechosłowacy mogli jedynie przeciwstawić wozom pancernym rozpacz i zaciśnięte pięści.

Taki był początek sześciolatniej hitlerowskiej okupacji Czech i Moraw. Już w pierwszych dniach okupacji aresztowano 20 000 komunistów i innych postępowych patriotów. Dnia 28 października 1939 r. następuje masakra studentów i zamknięcie wszystkich czeskich szkół wyższych. Potem już ciągnie się nieprzerwany łańcuch nazistowskich gwałtów. Obóz koncentracyjny w Terezynie, wymordowanie mieszkanców Lidic, Leżaków i innych miejscowości czeskich, rozstrzeliwanie, wieszanie i ścinanie patriotów czeskich w więzieniu „na Pankracu” w Pradze, tortury w piwnicach Gestapo, ujarzmianie i germanizacja narodu, rujnowanie gospodarki narodowej. Ogólnonarodowa tragedia, której wynikiem było wymordowanie przez okupanta 350 000 ludzi i 700 miliardów koron strat w gospodarce narodowej.

Czechosłowacja — to baszta bolszewizmu w sercu Europy — takim sloganem hitlerowscy dyplomaci straszili zachodnich sojuszników Czechosłowacji. Gdy w roku 1935 rząd czeskosłowacki zawarł ze Związkiem Radzieckim układ o wzajemnej pomocy, politycy III Rzeszy oficjalnie zaprotowali u mocarstw zachodnich. Przedstawiciel dyplomacji rządu hitlerowskiego w Pradze, Eisenlohr, dopisał tego, że czołowy przedstawiciel partii agrarnej premier dr Milan Hodža oraz instruowany przez zachodnie koła rządowe prezydent republiki dr Benes oświadczyli że „układ ze Związkiem Radzieckim jest pozostałością z dawniejszych czasów i że ich rząd w żadnym wypadku nie zwróci się do Związku Radzieckiego o pomoc”. W tym czasie gdy Czechosłowacy politycy składali to oświadczenie nazistowski sztab generalny miał już opracowany plan podboju Czechosłowacji — „Fall Grün”. Po przyłączeniu Austrii do Rzeszy, wiosną roku 1938 Czechosłowacja okrażona została od północy, zachodu i południa. Nazistowscy zuchowcy zdolali roznosić antyczeskosłowackie nastroje także w Polsce pułkownika Becka i na Węgrzech admirała Horthy'ego.

Imperializm francuski i angielski udawał początkowo opiekuna Czechosłowacji. Generalnie francuscy kierowali budową sieci fortyfikacji na czeskosłowackim pograniczu. Nie chodzilo jednak o ochronę integralności Czechosłowacji, ale o... wywieranie nacisku na niemieckiego konkurenta na wypadek, gdyby zdecydował się on zaatakować zachód lub zachodnie kolonie. Ustępstwa wobec imperializmu niemieckiego, jak również dążenia do okrażenia Związku Radzieckiego za wszelką cenę, otwierały dla agresji hitlerowskiej drzwi do Europy wschodniej i południowo-wschodniej. Nie bez hipokryzji Chamberlain oznajmił po powrocie z Monachium: „Uratowaliśmy pokój dla świata”. Hitler mógł więc jako podarunek spokojnie zagarnąć Czechosłowację, kraj z 40 doskonale uzbrojonymi dywizjami i znacznym potencjałem gospodarczym.

Wewnątrz samej Czechosłowacji istniała już wtedy silna hitlerowska piąta kolumna; w wyborach parlamentarnych w roku 1935 „Partia Sudecko-Niemiecka” Henleina (SdP) uzyskała 90 proc. głosów wszystkich Niemców zamieszkających w nadgranicznych rejonach Czechosłowacji. Henleinowcy otrzymywali olbrzymie środki finansowe z Ber-

lina. NSDAP szkolila propagandzistów i przywódców, przysyłała swych doradców. Nakaz z Berlina brzmiał: „wywołać spory, te z kolei wykorzystać w kraju i za granicą w propagandzie głoszącej, że „z Czechosłowacją nie można prowadzić rokowań, że uciekana mniejszość niemiecka domaga się ochrony ze strony Rzeszy”.

Czechosłowacka burżuazja rządząca pod przywództwem Berana i Preissa — przedstawicieli oligarchii przemysłowej, agrarnej i finansowej zmierzała do bezpośredniej faszystyzacji państwa i zbliżenia z hitlerowskimi Niemcami. Już po wyborach w roku 1935 utworzyła ona koalicję rządową z socjal-demokratycznymi i narodowymi socjalistami, by uniemożliwić w ten sposób utworzenie wspólnego frontu ludowego pod przewodnictwem Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Kiedy Beran usiłował jednak powołać do rządu nazistów — henleinowców i słowackich klerofaszystów, natrafił na zwarty opór narodu, opór który uniemożliwił przekształcenie Czechosłowacji w państwo reżymu faszystowskiego.

Obalenie rządu dr Hodży, który kapitulował przed haniebnym traktatem monachijskim i entuzjazm, z jakim przyjęto ogłoszenie mobilizacji sił zbrojnych we wrześniu 1938 roku — to najlepsze dowody postawy patriotycznej ludu czeskosłowackiego.

Ciężkim ciosem dla czeskosłowackiej państwowości było oprócz Monachium wystąpienie słowackich separatystów z ks. Tiso, Tuka, Durcanskym, Machem i innymi na czele. Przywódca niemieckiej V kolumny w Słowacji, Karmasin, zorganizował spotkanie ks. Tiso z Hitlerem i proklamowanie separatystycznego rządu tzw. Państwa Słowackiego. Lud słowacki jednak nie poddał się tym manewrom i swym powstaniem narodowym w roku 1944 zadokumentował wolę walki z hitleryzmem.

Z bolesnych doświadczeń tych lat, okupacji, zakończonych rewolucyjnym zrywem w maju 1945 r. i ostatecznym zwycięstwem nad faszystowskim najeźdźcą, korzysta pokolenie dzisiejsze i korzystać będą pokolenia przyszłe.

Do tytułu nie roszczę pretensji autorskich, gdyż mógł już go ktoś użyć w przeszłości. O Poznaniu (dawniej używano się raczej historycznego określenia: Wielkopolska) i jego ludziach pisano bowiem często na przestrzeni ostatnich stu lat, bądź to entuzjastycznie, bądź też krytycznie. Przyczyn ku temu było niemało. W czasach zaborów Poznańskie było sercem i mózgiem włączonych do Prus ziem polskich; zwracało na siebie uwagę innych ziem, które śledziły jego skuteczną walkę z germanizmem. Przeważały wtedy głosy entuzjastyczne.

W okresie międzywojennym Poznańskie, wyjątkowo dobrze zagospodarowane, jak na ówczesne stosunki, nawet w okresie największego kryzysu ekonomicznego stanowiło swego rodzaju oazę w kraju biednym. Nikt np. ze „stołecznego m. Krakowa” nie uważał wtedy za złykłe przeniesienie do Poznania, raczej przeciwnie. Dla mieszkańca Białegostoku wizyta w Poznaniu była zaś jakby wyprawą do rodzimego Paryża... gdzie było na co popatrzeć i snuć smętne porównania na temat Polski A i B.

Czy ta ówczesna pozycja Poznańskiego, wyróżniająca je w naszym kraju, była zasługą jego mieszkańców? I tak i nie! — Jeśli bowiem niewola była ogólnym nieszczęściem narodowym, miała ona inne oblicze w każdym z trzech zaborów, zależnie od poziomu cywilizacyjnego danego państwa zaborczego. Poznań-

Zorganizowana przez redakcję „Głosu Wielkopolskiego” dyskusja o kulturze w powiecie była bardzo potrzebna. Inaugurując ją na łamach „Głosu Tygodnia”, redaktor Marian Flejsierowicz wysunął kilka problemów, które wymagały omówienia: co powinno być treścią pracy kulturalnej, przedmiotem upowszechnienia, jaki powinien być model działalności kulturalnej w powiecie, w jaki sposób zapewnić konieczne środki finansowe dla działalności kulturalnej, jaka powinna być rola organizacji społecznych i młodzieżowych w pracy kulturalnej.

Nawet jeśli dyskusja nie odpowiedziała na wszystkie z wymienionych pytań — problemów, przyniosła jednak sporo ciekawego materiału, sformułowała szereg konkretnych postulatów i wniosków.

Za współczesnością

Dobrze, że redakcja wysunęła na czoło zagadnień do przedyskutowania problem treści pracy kulturalnej. Działalność kulturalno-oświatowa jest przecież ważną częścią składową całokształtu pracy wychowawczej. Jasność w tej podstawowej sprawie ułatwi dobór odpowiednich form, pomoże znaleźć właściwy schemat organizacyjny i możliwie najlepsze metody pracy.

Mimo, że już Wielkopolski Festiwal Kulturalny wpłynął na znaczne rozszerzenie i uwspółcześnienie treści pracy kulturalnej, jednak w działalności wielu zespołów — zwłaszcza w małych miasteczkach i wsiach — występuje zawężenie i duża jednostronność.

Wielu też dyskutantów podjęło właśnie ten problem. Wypowiedzieli się przeciwko tradycyjnemu, pracy wąskiemu podejmowaniu pracy kulturalnej — sprowadzaniu jej tylko do działalności zespołów artystycznych. Dyskutanci uważają, że w treści pracy kulturalnej należy uwzględnić szeroki wachlarz zagadnień, wprowadzać znacznie więcej elementów oświatowych, społecznych i politycznych, a więc takich, które bardziej aktywnie oddziaływają na świadomość człowieka. Trzeba umieć wybrać najważniejsze z nich, przyjmując za kryterium oceny zarówno ich aktualną wymowę społeczno-polityczną, jak i przydatność w kształtowaniu socjalistycznej świadomości.

Realizujemy również postulat J. Mańkowskiego (G. T. nr 3 z 29. X. 1961 r.), aby w treści pracy kulturalnej nawiązywać częściej do spraw danego regionu, do jego tradycji. Wydobytą więc z nich wszystkie elementy postępowe i rewolucyjne, zapoznawajmy z przeszłością między innymi po to, by pomagać w rozumieniu współczesności, tym bardziej, że Wielkopolska posiada bogate tradycje walk o narodowe i społeczne wyzwolenie, na pewno nie najlepiej jeszcze spularyzowane.

Znacznego pogłębienia i rozszerzenia form pracy kulturalnej, przejęcia jej elementami oświatowymi i fachowymi i uwspółcześnienia

skie znalazło się w tyle lepszym położeniu niż inne dwa zabory, że — włączone do państwa o dużej dynamice rozwojowej — korzystało pośrednio z przemian i zdobyczy kulturalnych, społecznych i ekonomicznych zabory. Nie to było, oczywiście, celem akcji germanizacyjnej, która wytknęła sobie zadanie zniszczenia polskości, lecz faktem

Florian Miedziński

Ach Ci
POZNANIACY

jest, że właśnie z konieczności przeciwstawienia się wrogowi dobrze zorganizowanemu rośli i krzepły walory społeczeństwa poznańskiego, które wtedy budziły entuzjazm. W zmienionych warunkach historycznych które dawne walory mogą jednak częściowo przybrać treść negatywną, czego wyrazem np. w okresie międzywojennym była niewątpliwie istniejąca dzielnicowość, podbudowana kompleksem zarozumiałości. Dzisiaj, w ustroju ludowym, działają już zupełnie odmienne warunki historyczne, które negatywną

CZAS NA DZIAŁANIE

Jan Bartkowiak

kierownik Wydziału Propagandy
KW PZPR w Poznaniu

wymaga działalność w środowisku wiejskim, na co słusznie wskazuje L. Mańszewska (G. T. nr 5 z 12. XI. 1961 r.).

O jakość kultury

Norbert Karaśkiewicz i Józef Cieślak postulują, aby mieszkańcom miast, miasteczek i wsi naszego województwa zapewnić znacznie częstszy niż dotychczas kontakt ze sztuką poważną — teatrem zawodowym, dobrą imprezą muzyczną, wystawą plastyczną itp. Ten ostatni wręcz stwierdza (G. T. nr 8 z 3. XI. 1961 r.), że „nie można człowieka poza miastem wojewódzkim spytać jedynie w objęcia ruchu amatorskiego”. Należy więc oczekiwać od kierownictw naszych teatrów w Gnieźnie, Kaliszu i Poznaniu, od naszych instytucji muzycznych oraz Estrady więcej inicjatyw w tym zakresie, większej troski o dobór pozycji repertuarowych przeznaczonych dla masowego odbiorcy. Powinny to być najlepsze pozycje kła-

Uwagi na temat dyskusji o kulturze w powiecie

syczne, najbardziej reprezentatywne współcześnie, wystawiane z jak największą starannością.

Od placówek i działaczy terenowych należy oczekiwać też większej odpowiedzialności za organizacyjne przygotowanie imprez kulturalnych. Zdarza się bowiem jeszcze, że dobre imprezy, tylko z powodu słabej propagandy i złej organizacji odbywają się przy bardzo niskiej frekwencji.

Sądzę, że należy również doprowadzić do lepszej, przemyślanej koordynacji poczyną instytucji zajmujących się turystyką i wydziałów kultury. Wycieczki do ośrodków posiadających teatry i placówki muzyczne można i trzeba wykorzystywać dla kontaktu masowego odbiorcy ze sztuką. Tym bardziej, że choć postulat zbliżenia odbiorcy do sztuki poważnej jest jak najbardziej słuszny, nie stać nas na to, by do wszystkich małych miast, miasteczek, a tym bardziej wsi, często dojeżdżały teatry lub orkiestry. Problem ten chyba wkrótce pomoże w poważnym stopniu rozwiązać telewizja, która „wystawia” sztuki teatralne w dobrej obsadzie aktorskiej.

Przeciwko rozprasaniu sił

Tak więc dyskusja sformułowała i skonkretyzowała sporo uwag i postulatów dotyczących treści pracy kulturalnej, wskazała na konieczność kompleksowego jej pojmowania, szerszego uwzględniania elementów oświatowych, społecznych i politycznych realizowanych przy wykorzystaniu różnorodnych form i metod.

stronę niektórych dawnych walorów jeszcze bardziej podkreślają.

Czy jednak te właśnie przemiany mają stanowić łatwy i jedyny temat różnych dyskusji, wydziwiał i wymądzeń, a niejednokrotnie po prostu beznamiętnie wypowiedzianych opinii i taniutkiej satyry? Bez wątkania, ile z dawnych walorów jeszcze dzisiaj ma swoją wartość?

Szczególny „przywilej”

Jest bowiem rzeczą znaną, że od czasu do czasu na łamach prasy codziennej i tygodników pojawia się właśnie Poznańskie jako temat „dyskusyjny”, rzecz jasna „zasadniczy”, podłożony pod lupę krytycyzmu, poprzez którą spogląda na niego oko nie zawsze mądre. Innym częściom naszego kraju po-

Taki kompleksowy program może realizować tylko placówka dobrze wyposażona i zorganizowana, skupiająca oddanych i przygotowanych działaczy. Zagadnienie to stanowiło drugi problem w dyskusji. Co ma być ośrodkiem pracy kulturalnej, w mieście, w środowisku: dom kultury, klub czy świetlica zakładowa?

Dyskutanci jednoznacznie postulowali, aby decydować się na tworzenie ośrodków ogólnomiejskich. W jednym wypadku może to być dom kultury, w innym międzyszakładowy klub lub świetlica. Nie stać nas na to, aby w mieście czy miasteczku było kilka słabych ośrodków pracy kulturalnej, niezdolnych do aktywnego działania. Trudno też zgodzić się z poglądem, że każdy ambitniejszy i większy zakład powinien posiadać własny klub czy świetlicę.

Trzeba tworzyć takie ośrodki, którym zagwarantuje się dobre wyposażenie, niezbędne środki finansowe oraz przygotowaną kadrę działaczy. Taki ośrodek pracy kulturalnej powinien powstać w każdym mieście powiatowym i miasteczku. Powinniśmy również dążyć do tego by takie ośrodki powstały w każdej gromadzie — jeśli warunki pozwolą — we wsi. Może nim być biblioteka gromadzka wraz z czytelnią, świetlica GS, spółdzielnia, czy PGR, zwłaszcza zaś szkoła. (E. Marciniak, G. T. z 29. I. 62 r.) będąca nie tylko placówką oświatową ale również kulturalną o randze ogólniowojewódzkiej.

Realizacja postulatów tworzenia kompleksowych ośrodków działalności kulturalnej zarówno w mieście jak i na wsi, jest możliwa tylko pod warunkiem pełnej konsolidacji wysiłków i środków wszystkich instytucji, zakładów pracy, organizacji społeczno-gospodarczych i młodzieżowych, opracowania wspólnego programu pracy uwzględniającego potrzeby i interesy poszczególnych partnerów.

Problemem tym powinny zająć się roboczo powiatowe komisje koordynacyjne, powiatowe komisje związków zawodowych, rady narodowe i instancje partyjne. Trzeba opracować konkretny plan działania w tym zakresie, ustalić zasady kierowania i finansowania. Tylko takie placówki zdolne będą realizować kompleksowy program pracy kulturalno-oświatowej, zaspokajając potrzeby poszczególnych środowisk. Tylko takie przemysłowe, systematyczne i długofalowe działanie w poważnym stopniu rozwiąże również problem zdobycia nowego odbiorcy dóbr kulturalnych.

Kadry decydują

Dyskutanci zwrócili też uwagę na braki w tej dziedzinie spowodowało szereg czynników, spośród których wymienić można nie zawsze dostateczną troskę rad narodowych o potrzeby mieszkaniowe pracowników kultury, nieuzasadnione zaniżanie poborów oraz niewypracowanie właściwego systemu kształcenia pracowników kulturalno-oświatowych. Na miejsce zlikwidowanych liceów kulturalno-oświatowych nie wprowadzono nowych.

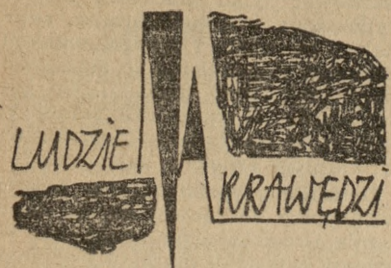
Dokończenie na str. 2

świeca się artykuły i reportaże o ich rozwoju, o tym jak zmieniają się pod wpływem ogólnego postępu. Nikomu natomiast na myśl nie przychodzi rozważać, jaki jest charakter ludzi Białostoczczyzny czy Rzeszowszczyzny, czy są hojni czy skąpi, mają usposobienie wesołe, czy też ponure, lubią sznyceł wieprzowy więcej niż kolduny, wolą operetkę niż sztukę dramatyczną etc. etc.

Czym wytłumaczyć ten szczególny przywilej Poznańskiego, że od czasu do czasu jest przedmiotem takiej wivisekcji? Osobiście dziwny ten fakt wytłumaczyć mogę sobie jedynie tym, że o Białymstoku czy Rzeszowie piszą chyba raczej ludzie z tym terenem rzeczywiście związani, powiedziałbym: wyrośli z niego — nie odczuwający jakichś kompleksów w stosunku do swych bliższych współmieszkańców. Natomiast o Poznaniu na ogół zabierają głos ludzie jakby „z zewnątrz”, którzy, chociaż tu nieraz dość długo zamieszkują, czują się w stosunku do „miejscowych” czymś w rodzaju turystów, którzy obcych im ludzi obserwują krytycznie. A jak ktoś patrzy tylko krytycznie, zawsze coś znajdzie, jeśli nie przysłowiową dziurę w niebie, to co najmniej... golonkę. Jeśli zaś jest głośny w swym krytycyzmie, do innych stosuje wyłącznie swoje subiektywne kryteria, a nie umie się wczuć w klimat badanego terenu, wówczas może uzyskać tylko skrzywiony.

Dokończenie na str. 2

Krzysztof Monikowski



I Oskarżenie

Inteligentny, wrażliwy chłopiec. Ma dopiero 20 lat. Wyszł z więzienia po odsiedzeniu wyroku za napad rabunkowy. Jest ślusarzem. Roboty w tym fachu nie brak, ale wszędzie, gdy rozmowa do szła do pytania „a co pan robił ostatnio?” — rozkładano ręce. Nikt nie chciał ryzykować. Także rodzice wyrzekli się wyrodnego syna; zresztą — mieszkają osobno, każde ma swe własne życie. Chłopiec został sam.

70-letnia wdowa. Dzieci dorosłe, pracują, zarabiają. Specjalną troskę wosła otaczała ukochaną wnuczkę. Aby umożliwić jej ukończenie studiów, sprzedała urządzenie restau-

racyjne — to, co pozostało po mężu. Wnuczka studia ukończyła, wyszła za mąż za inżyniera. Staruszkę, która pozostała bez żadnych środków do życia, ukochana wnuczka chce teraz usunąć z mieszkania.

Rodzina z pięciorgiem dzieci. Najmłodsze — 5 miesięcy. Ojciec — nałogowy alkoholik. Od czasu do czasu wynajdzie sobie jakąś dorywcza robotę, po to tylko, żeby mieć pieniądze na wódkę. Dzieci zabiedzone, wygłodzone, niedorozwinięte.

18-letnia dziewczyna, tzw. lekkich obyczajów. Poszła śladem matki, lecz nie miała jej doświadczenia. Kiedy urodziła dziecko, matka wyrzuciła ją z domu.

II Rozmowa z Temidą*

I cóż, Temido? Ludzie skrzywdzeni. Tam, gdzie krzywdą, powinna być wina. A winnych należy karać, prawda?

Nie traktuj tego jako zarzut, bo inaczej być przecież nie może: Ty, Temido, spoglądasz na świat studium wzrokiem paragrafów. Można je mnożyć, można ciągle wystrzacać i doskonalić Twój wzrok, ale Ty sama wiesz, że będą krzywdy, wobec których pozostaniesz bezsilna.

Nie zmusisz bowiem kierownika fabryki, by wziął na siebie odpowiedzialność za ryzyko, jakim jest przyjęcie do pracy człowieka, którego słusnie ukarałeś.

Masz rację: dzieci, które pozostawiają starą matkę bez środków do życia, możesz zmusić do alimentacji. Ale do tego potrzebny jest przewód sądowy. Dla starej kobiety słowo „sąd” kojarzy się z ławą oskarżonych, z wyrokiem. Czy dźwiesz się, Temido, że matka nie dąży do tego, by jej dzieci znalazły się na tej ławie?

Powiesz, że nałogowego alkoholika można leczyć przymusowo? Że można zasądzić alimentację? To przecież niczego w tej sprawie nie zmieni. Bo którym paragrafem zmusisz go do uczciwej pracy?

A jak pomożesz tej dziewczynie? Nakłoniś matkę, żeby przyjęła ją z powrotem?

III Zamiast wyroku

Referat, wydział — te słowa kojarzą się z urzędniczą, papierkową robotą. Tymczasem jest taki referat w aparacie rad narodowych*, gdzie nie wolno być urzędnikiem. Gdzie nie ma sztywnych godzin biurowej pracy.

W szafie tego referatu jak w każdym innym, tkwią ciasnym szeregiem grube segregatory. Ale akta dotyczą spraw najbardziej wstydlivych, a jednocześnie ludzkich. Przykłady, które podałem, są najbardziej wyraziste, krańcowe. Oskarżają egoizm, nieczułość, wygodnictwo. Rzadko za to idzie się na ławę oskarżonych. Krzywdy te trafiają więc tutaj, do zwykłego referatu Dzielnicy Rady Narodowej. I właśnie

tutaj ludzie skrzywdzeni, najczęściej anonimowo, ludzie, którzy nie potrafią rozplątać swego życia, którzy zabrnęli w nieszczęście — otrzymują pomoc i opiekę.

Jakże często utożsamiano ją w nie dawnej przeszłości z jałową filantropią! A jednak pomoc ta jest konieczna. Toteż w roku ubiegłym tylko jedna dzielnica miasta przeznaczyła na ten cel blisko 900 tysięcy złotych. O ponad 700 tys. zł więcej, niż cztery lata temu. Nie dlatego, że liczba potrzebujących pomocy i opieki tak bardzo wzrosła. Po prostu — nie przymykamy już oczu z fałszywym wstydem na problem, któremu na imię: ludzie na krawędzi.

Bo przecież młodemu człowiekowi, który doszedł do wniosku, iż musi być przestępcą, powinno się wyszukać jakąś pracę, przywrócić go społeczeństwu. Staruszkę, która przez całe życie dążyła do tego, by jej dzieci i wnuczka „wyszli na ludzi”, trzeba nie tylko dać bezpłatne bony na obiad, lecz także umieścić w domu starców, a dopiero potem wystąpić o alimentację do sądu. Ktoś musi pomyśleć o tym, żeby dzieci alkoholika nie tylko nie chodziły bez śniadania do szkoły, lecz także pomóc jego żonie w uzyskaniu osobnego mieszkania i odpowiedniej pracy, np. dozorczyni domu. A więc uporczywe stukanie do wielu drzwi wielu instytucji.

A sprawa czwarta? Wprawdzie próby skojżenia małżeństwa (bo i w takiej roli występują pracownicz-

ki referatu) nie powiodły się, ale dziewczyna ma już własny dach nad głową, ma pracę, a jej dziecko — miejsce w żłobku. Słowem — dano jej pełne szanse na nowe życie.

Opiekun społeczny — to nieetatowa, najbardziej wysunięta czujka referatu. Na nim opiera się cała robota. Wystarczy przekartkować jego poradnik, by stwierdzić, że staje on twarzą w twarz z niemal wszystkimi nieukrowanymi problemami naszej współczesności: demograficznymi, obyczajowymi, rodzinnymi, wychowawczymi, zawodowymi. Robota olbrzymia, wymagająca życiowego doświadczenia, znajomości ludzi, cierpliwości i takty. Można nawet znać na pamięć za wartość poradnika — i być zym opiekunem społecznym. I tak się czasem zdarza, gdyż instytucje, mające obowiązek proponowania kandydatów na tych opiekunów, często nie bardzo zastanawiają się, o co tu właściwie chodzi.

A chodzi nie tylko o okazanie konkretnej pomocy. Zyczliwość, proste, choćby słowo pociechy i zachęty — oto czego najbardziej może potrzeba ludziom, którzy znaleźli się na krawędzi.

* Referaty Opieki Społecznej Wydziałów Zdrowia i Opieki Społecznej z którymi ściśle współpracują Komitety Pomocy Społecznej. Materiały tu zebrane pochodzą z DRN Poznań Jezyce.

Artykuł dyskusyjny o służbie zdrowia

Niedawno w Poznaniu ogłoszono ankietę błyskawiczną pod hasłem „Wszyscy leczymy służbę zdrowia”. Pytania brzmiały: czy właściwa jest lokalizacja poradni, czy odpowiadają pacjentom godziny przyjęć, czy zadowalają wizyty i zabiegi lekarskie, czy szkolna opieka zdrowotna jest wystarczająca, czy apteki są dobrze zaopatrzone w leki i otwarte w dogodnych godzinach.

Moim zdaniem nawet wielotyśne, najszczersze, najsłuszniejsze odpowiedzi i dostosowanie służby zdrowia do ich dezyderatów, tylko w pewnej mierze poprawiają leczenie chorób zakaźnych, kobiecych, dermatologicznych, laryngologicznych, onkologicznych, reumatologicznych, okulistycznych itd., natomiast prawie w niczym nie zapobiegają schorzeniom na tle nerwowym i psychicznym. A te właśnie szerzą się szczególnie w rejonach przemysłowych. Prawda, że u nas zjawisko to nie przedstawi się tak groźnie jak np. w Stanach Zjednoczonych lub w Niemieckiej Republice Federalnej, nie zwalnia to jednak nas od dostrzegania zła.

Powiększenie personelu lekarskiego, szpitali i sanatoriów dla chorych na tle nerwowym będzie tylko usuwaniem schorzeń jako zjawiska wtórnego, a nie rugowaniem zasadniczych przyczyn.

Chory najczęściej otrzymuje od lekarza receptę na takie czy inne lekarstwo, zalecenie na tyle i tyle zastrzyków, przepis dietetyczny, przekaz do zakładu wodoleczniczego i radę mniej więcej tej treści: — Przede wszystkim nie wolno się panu przejmować!

Albo: — Nie może pan wrócić na dotychczasowe swoje stanowisko. Musi pan znaleźć pracę, gdzie będzie lepsza atmosfera. W przeciwnym wypadku całe leczenie na nic.

I tu pacjent jest pogrzebany, bo niełatwo mu pożegnać się z dotychczasowym zakładem pracy i znaleźć inną pracę o takich samych warunkach płacy i specjalności.

Lekarz najczęściej też zdaje sobie z tego sprawę. Cóż — obowiązek formalny spełnił. Prawda, mógłby w niejednym wypadku pomóc, gdyby...

„...miał przygotowanie psychologiczne. Nasze akademie medyczne uczą kandydatów na lekarzy traktowania chorego jako związku reakcji chemicznych i fizycznych, a nie jako indywiduum, na które wpływają doznania psychiczne, urojone lub faktyczne. Część z nich nie mając przygotowania psychologicznego kieruje się wyłącznie wynikami swoich własnych obserwacji, na to jednak potrzeba wieloletniej praktyki i osobistego wyczucia, które nie zawsze pokrywa się z prawami psychologii. Uważam, że nowoczesny lekarz specjalista i tak zwany „omnibus” (proszę mi wybaczyć ten przyjęty zresztą termin!) musi już na studiach medycznych przejść kurs psychologii.

▲ Leczenie a także profilaktyka. winny wyjść poza pigułki i zabiegi. Lekarza, szczególnie zakładowego, należałoby uprawnnić do ingerencji, również przez władze nadzórne, w niezdrowe stosunki panujące w zakładzie pracy, gdy stwierdza wzrost zachorowań o podłożu nerwowym. Cóż z tego, że chory opuści ten zakład, gdy następny pracownik skazany zostaje na takie same następstwa! Jeśli zły klimat pracy wywołuje majster, kierownik czy ktoś inny, to ci sprawcy powinni być pociążeni o skutkach swego postępowania, a gdy nie nastąpi poprawa, usunięci.

Trzeba tu sobie zdać sprawę, że zadaniu temu nie sprosta lekarz uzależniony od rady zakładowej, gdy ona jest powiązana z dyrekcją, i nie znający warunków domowych pacjentów. Nie da rady także lekarz rejonowy, pracujący „systemem taśmowym” i nie zorientowany w sytuacji fabrycznej, biurowej czy domowej. Chodzi mi więc o przybliżenie lekarza nie tylko do chorego, ale i do potencjalnego pacjenta. A więc lekarz środowiskowy odpowiedzialny nie za leczenie, ale za zdrowie swojej grupy ludzi powinien być uzbrojony w dużą samodzielność, a przez wiedzę i etykę w autorytet i w prawo ingerencji tam, gdzie sytuacja zaczyna szkodzić zdrowiu ludzkiemu.

Chciałbym jeszcze poruszyć zagadnienie nieco odrębne, ale związane z niniejszym tematem. Jesteśmy maksymalistami, chcielibyśmy, żeby najszybciej było jak najlepiej, gdy życie ma swoje wymogi i hamulce. Denerwuje nas każde najmniejsze niedociągnięcie, to z kolei prowadzi do przeczuć, w wyniku tego stajemy się malkontentami; zachowanie nasze koliduje z przyjętymi zasadami dobrego postępowania, rodzi się podejrzliwość, a to przeradza się w kompleksy i wywołuje nerwice.

Zbardzo słuszną inicjatywą niedawno wystąpił Kraków (PCK, Towarzystwo Higieny Psychiczej, Wydział Zdrowia i Uniwersytet Jagielloński) ogłaszając 1962 rok — „Rokiem Zyczliwości”. W odezwie czytamy: „Zyczliwość, uprzejmość i grzeczność zapobiegają zawałom serca, udarowi mózgu, a także chorobom wrzodowej żołądka i dwunastnicy oraz innym chorobom pochodzącym ze spaczonych czynności nerwowej ustroju”. Komitet Roku Zyczliwości rozpropagował liczne hasła, wezwał także wszystkie uniwersytety, rady narodowe i środowiska lekarskie do współdziałania. Niestety, Poznań nie odpowiedział. A przecież to inicjatywa jak najbardziej chwalebna. Chorobom ner-

Dokończenie na str. 4

Rzym

Antoni Rzyński

Dokończenie ze str. 1

obraz. Gorzej, jeśli obraz ten obnosi publicznie, usiłując wmawiać innym, że przedstawia on „autentyczny portret” modelu...

Co decyduje?

Tak się właśnie przedstawia sprawa w odniesieniu do Poznania. Od czasu do czasu wchodzi ono „problemowo” na warsztat i to od strony charakteru jego ludności, jej mniej czy więcej „koftuńskich” skłonności, zamiłowań golonkowoperekowych czy mebli na wysoce polski itd. Jak gdyby te „cechy” stanowiły alfę i omegę roli Poznania w życiu całego kraju, wkładu do jego rozwoju. Ile jest zaś rzeczywistych problemów, które powinny budzić zainteresowania i refleksje! Zainteresowanie budzić powinna przecież rzeczywista sprawa udziału Wielkopolski w ogólnych przemianach naszego kraju, społecznych i gospodarczych, rola jego obecna w porównaniu z dawną, dociekania, gdzie i na jakich odcinkach notujemy postęp, a na jakich zastój. Z tym zaś nie jest tak dobrze, jakby pozornie wyglądało.

Wylączając Warszawę i woj. warszawskie, jako organizm szczególne zajmujący stanowisko w kraju, Poznańskie jest obszarem największym województwem. Obejmuje bowiem prawie 28 tys. km kw., kiedy następne, krakowskie, ma ich około 15 tysięcy. Natomiast pod względem zaludnienia Poznańskie (ciągle bez Warszawy i jej województwa) zajmuje drugie miejsce z Krakowskiem (po około 2.400 tys.), za Katowickim (3.300 tys.). Zarówno więc co do obszaru jak i zaludnienia, Poznańskie zajmuje czołowe miejsce w kraju. Inaczej już jednak przedstawia się sprawa, kiedy spojrzeć na Poznańskie od strony przemysłowości, biorąc pod uwagę liczbę zatrudnionych w przemyśle. Tu już kolejność jest inna: Poznańskie (Poznań i województwo) zajmuje do piero piąte miejsce (z 200 tys. zatrudnionych w przemyśle państwowym i uspołecznionym), za woj. katowickim (735 tys.), Łodzią i województwem (327 tys.), Wrocławiem i województwem (312 tys.) oraz Krakowem i województwem (250 tys.).*)

— W rolnictwie, chociaż Poznańskie ciągle jeszcze określane jest krajowym „zielenym zagłębieniem”, w ogólnej produkcji rolniczej jest ono naciśnięte przez kilka województw, a przez Opolskie wyprzedzane, jeśli

Ach Ci POZNANIACY

chodzi o wartość produkcji ogólnej z 1 ha użytków rolnych. — Jest więc nad czym podyskutować, jak utrzymać rolę „zielonego zagłębienia”, oraz jak gonić województwa bardziej przemysłowe.

Na dowód „czołowej” roli Poznania w życiu kraju przytacza się chętnie Poznań jako siedzibę MTP. W jednym z miejscowych pism czytałem niedawno o Poznaniu jako — „stolicy handlu polskiego”. Tyle w tym twierdzeniu bezkrytycyzmu, ile nieznajomości rzeczy. Poznań bowiem można co najwyżej określić oknem wystawowym tego handlu, ale kantor polskiego handlu, w którym zapadają wiążące decyzje, znajduje się w Warszawie, co zresztą odpowiada strukturze naszej ekonomiki. Poznań daje duży wkład w organizowanie MTP, wiele na nich korzysta w dziedzinie urbanistycznej (strach pomyśleć, ileby nie zostało zrobione w mieście, gdyby nie MTP), ale o tym, czy my komuś coś sprzedamy, lub on nam, nie w Poznaniu się decyduje...

Teoryjki i zawodzenia

Nie brak więc problemów, które muszą interesować mieszkańców Poznania: przy braku wskazywania na nie łatwo może on popaść w samouspokojenie, że jego bliźsza ojczyzna to nie tylko największe województwo, lecz pod każdym względem „czołowe”. Zmieniła się jednak Polska, zacierają się różnice między kategoriami A i B, inne tereny podciągają się pod względem cywilizacyjnym. Miarą przedwojenną już nie wiele spraw można mierzyć, szereg mitów trzeba na stałe odożyć do lamusa.

Daremnie byłoby jednak doszukiwać się tych wszystkich problemów w dyskusjach o Poznaniu i jego ludziach; pozostawia je się łaskawie ekonomistom i innym ludziom, zajmującym się realnymi sprawami tego świata, na które pewna kategoria ludzi pióra patrzy z politowaniem. Mowa (dretwa) jest natomiast stale o kulturze w ogólności, a beletryście i poezji w szczególności, a własną niemoc tworze-

nia pragnie się przekuć w jakieś „kulturtraegerstwo”, w dodatku nie zawsze o sprecyzowanym modelu ideologicznym, chociaż wszystko się przecież dzieje w „nietrudnych” do określenia warunkach społecznych. Mdló zaczyna się robić, kiedy czyta się i słyszy te ciągłe jeremiady, że Poznaniacy są jakoby głusi na kulturę, gdyż dla nich kultura to jedynie operetka — po golonkach na kolację, że nie chcą stać się społeczeństwem „poetników”, którzy by rano i wieczór wnikali w „wynikania”, że nie chcą tego właśnie uznać za pępek swego bytu.**)

Na tym więc tle rodzą się dyskusje o „charakterze” poznaniaków, tworzy się przykrojone na poczekaniu teoryjki i zawodzenia: ach, ci poznaniacy...

A ponieważ „wolność Tomku w swoim domku” — skorzystam i ja z tej wolności, by powrócić do tych „problemów”, które niejedną duszę takim smutkiem napawają.

FLORIAN MIEDZIŃSKI

*) Wszystkie dane: Rocznik Statystyczny 1961.

**) Patrz choćby „Współczesność” 5/1962, „Jaki właściwie jest Poznań”.

CZAS NA DZIAŁANIE

Dokończenie ze str. 1

dzono innych form szkolenia. Wydaje się, że w obecnym stanie rzeczy najbardziej racjonalnym rozwiązaniem byłaby pedagogizacja szkół specjalistycznych, kształcących pracowników dla potrzeb instytucji kulturalnych, takich jak: technika księgarska, ośrodki kształcenia bibliotekarzy, licea muzyczne i plastyczne oraz wyższe szkoły artystyczne. Pozwoliłoby to na wychowywanie kadr pracowników posiadających nie tylko wiedzę szczegółową, ale także przygotowanych do spełniania różnorodnych zadań w zakresie upowszechniania kultury. Oczywiście, szkolny system przygotowywania pracowników kultury nie wyklucza potrzeby większej troski i doceniania społecznych działaczy kulturalnych, traktujących swoją pracę jako osobistą pasję życiową. Trzeba przyciągać do pracy kulturalnej więcej ludzi z inicjatywą, zapałem i pasją, dobrych popularyzatorów wiedzy, zwłaszcza technicznej.

***** W jednym artykule nie sposób omówić wszystkich problemów związanych na uwagę. Tym bardziej więc wnioski, postulaty i propozycje, które przyniosła dyskusja, powinny być szczegółowo rozważone przez wydziały kultury rad narodowych, komisje związków zawodowych oraz instytucje powołane do upowszechniania kultury. Cenna inicjatywa „Głosu Wielkopolskiego” wykazała, że prasa może i powinna spełniać poważną rolę w wypracowaniu programu pracy kulturalno-oświatowej.

JAN BARTKOWIAK



Ryszard Danecki

Tryptyk wiosenny

I DZIEŃ PIERWSZY

Muezzinom staromiejskich podwórzy,
w cylindrach stronnych, rzadkiego wyrobu —
echo, po kwocem gdańcu, wtórzy:
ko-ko-kominarzbędziwymiatat!

Kot w białe łaty — łapy sobie liże
na kominie kopącym minarecie —
pewno przyniesiony w czarnym cylindrze
sądzą umazanego muezzina...

Na dach — kotka wpelza po murze zwinna,
która kocura męską duszę durzy —
aż w łuk triumfalny uniósł się nareszcie...

I wtem — gdzieś od den wilgotnych podwórzy,
spod cementu popekanych rombów —
drzącym jak grzbiet ognia mgiełki pasmem —
z głębi gleb nieznanych podeszwoom,
w samym centrum kamiennego miasta —
nagle wiosną pod gardło podeszło,
kriatń ścisnęło bezprzyczynnym szpazmem...

II DZIEŃ DRUGI

Oto jestem otwarty na oścież —
cudowną chorobę gotów przyjąć,
przychodźcie, o dziewczęta, zagościecie —
chcę przykryć swą ręką — rękę czyjaś!

Znów jestem śmieszny gimnazjalistą,
który w marcowy dzień sam się znalazł —
bezadresowym zwierza się listom —
kocha z was każdą i wszystkie naraz!

Tkliwość chłopięcą — kto w sobie zawrze,
czy ta jedyna na świecie jest-że?
Bo kocham najbardziej — ciebie zawsze,
ciebie — której nie poznałem jeszcze...

III DZIEŃ TRZECI

Irena — to znaczy pokój,
ale dla mnie — dźwięk klingi znaczący,
która ranę otwiera w boku,
niechronionym żelazami tarcz —
niech zaświeci czerwony stygmat
na skrzyżowaniu dróg naszych — stać!
Irena — niech oznacza: krew niezastygła,
kłęska i chwata nowych starć!

marzec, 1962

Norbert Karaśkiewicz

Przeciw nudzie
i banałowi

Jest jeszcze dostateczna liczba ludzi, którzy nie zaznali szczęścia płynącego z marzenia. Nic ich nie pociąga poza jednolitą sensacją, tanim filmem i kryminalną szmirą. A przecież jeszcze kilka lat temu byli ludźmi kipiącymi z nadmiaru energii, entuzjazmu i wiary w przyszłość!

Bez kontaktu z cudzą myślą, uczuciem i wyobraźnią byłoby niemożliwe osobiste życie psychiczne. Sztuka jest zbiorowym wyznaniem naszych tęsknot, radości, bólu i cierpienia. Spróbujmy przekazać ukochanej głębie i złożoność doznań miłosnych w stanie czystym, uwolnionym od zewnętrznych wydarzeń? Pozbawieni języka sztuki, a tym samym odcięci od uogólnionych w poezji, muzyce czy plastyce doświadczeń wewnętrznych artysty jesteśmy skazani na obracanie się w kręgu prymitywnych i banalnych określeń.

Każda dziedzina sztuki mówi o tych samych sprawach odmiennym tylko i całkowicie własnym językiem. Film działa ekspresją przesuwających się obrazów, muzyka emocją dźwięku, plastyka tą samą emocją przemienioną w kolor. Za każdym razem poruszona zostaje inna warstwa naszej wyobraźni, a myśl i uczucie porwane są daleko poza normalny ich zasięg. Podobny stan przeżywamy w kontakcie z pięknem nieznanego dotychczas krajobrazu albo w rozmowie z nieznanym a wzbudzającym z miejsca naszą ciekawość człowiekiem. Przerwywa się krąg monotonii, mówimy, że w naszym życiu coś się zaczyna dziać. Źródłem nowego, a zarazem źródłem szczęścia płynącego z marzenia jest właśnie sztuka.

Trzeba samemu doświadczyć jej działania, by w nią uwierzyć. Rozbudzeniu wiary w muzykę mają służyć Koncerty Poznańskie organizowane przez Filharmonię, WKZZ i „Express”. Wychodząc od utworów powszechnie lubianych dojdziemy stopniowo do odkrywania coraz to nowych przeżyć, nieznanych odbiorcom prymitywnym. II Koncert Poznański odbędzie się już wkrótce, bo 31 bm. i zostanie powtórzony na poranku 1 kwietnia. Koncert na trąbkę Jamesa, pieśni polskie, hiszpańskie i włoskie oraz Mazur ze Straszego Dworu Moniuszki i Preludia Liszta są chyba wystarczającą zachętą dla nowego słuchacza. Od jego odpowiedzi na pożyteczną inicjatywę będzie zależało naprawienie przykrych i, niestety, potwierdzonej przez statystykę opinii, według której znaczna część poznania-ków jest nieczuła na sztukę.

Janusz Biniek

Nóż
w wodzie

Po ostatniej serii nowych filmów polskich, filmów przeważnie nieudanych lub wręcz słabych, z dużą satysfakcją trzeba odnotować pełnometrażowy debiut Romana Polańskiego. Ten bardzo młody reżyser dał się już poznać z interesujących krótkometrażówek: „Dwaj panowie z szafa” oraz „Gdy spadają anioły”, a następnie zrealizował film we Francji; ale dopiero wchodzący obecnie na ekrany „Nóż w wodzie” jest jego pierwszą próbą w dziedzinie pełnego filmu fabularnego.

Jest to błąha na pozór historyjka, której fabułę można streścić w jednym zdaniu: on i ona wybierają się samochodem na niedzielną przejażdżkę jachtem, na którą zabierają po drodze przypadkowego autostopowicza. Oglądając pierwsze sekwencje filmu sądziłem, iż będzie to jeszcze jedna, mniej czy bardziej banalna opowiastka z malowniczymi widoczkami jeziornych toni o zachodzie słońca na tle: on, ona i ten trzeci, opowiastka wzbogacona o współczesny melodramacik obyczajowy, poparty wątpliwą jakością psychologizowaniem. Tymczasem Polańskiemu, mimo że jego film bez przerwy ociera się o sentymentalny melodramat, udało się to, na czym nie tylko debiutanci łamali nogi: udało się uchwycić istotne zjawisko współczesnego życia.

Andrzej, znany sprawozdawca sportowy, dysponuje wszystkim, co może budzić zazdrość zwykłego śmiertelnika: własnym samochodem, własnym jachtem i własną, lecz bardzo przystojną żoną. Jest to jednak postać odpychająca kabotyńską pewnością siebie. Chłopca zabiera na jacht tylko dlatego, by móc — przed nim, przed Krystyną, przed samym sobą wreszcie — popisywać się w ulubionej roli „silnego człowieka”. A ponieważ chłopiec jest zadziorny — zaczyna się między nimi wielka, idiotyczna gra. Gra, która psuje urok całej wycieczki i omal nie kończy się tragicznie.

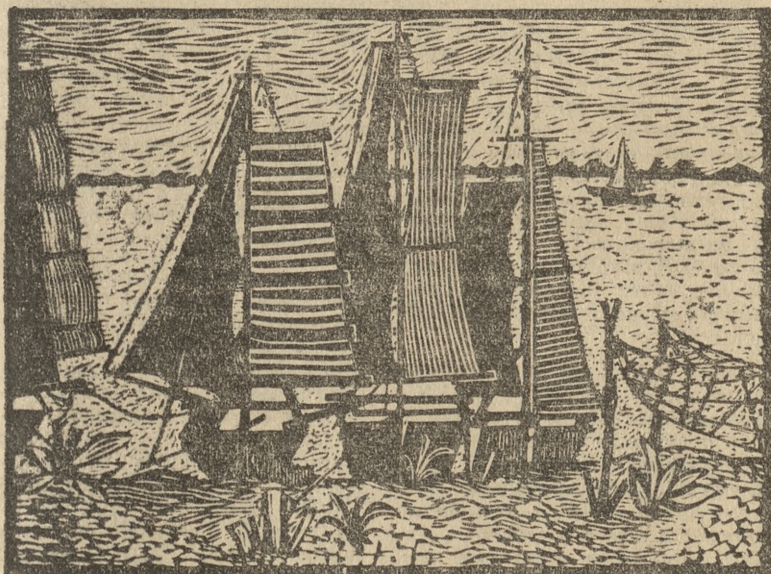
Polański atakuje więc współczesną obyczajowość od strony par excellence moralnej. Jego teza, że kabotyzm może stać się — i najczęściej się staje — zwykłą podłością i tchórzostwem, nie ma jednak nie wspólnego z moralizowa-

niem i doraźną dydaktyką. Reżyser bowiem nie ułatwia sobie zadania twierdzeniem, że to tylko łatwość życia i materialne udogodnienia wykoszowały Andrzeja. Z kolei chłopiec nie jest bynajmniej jego przeciwstawieniem, czymś w rodzaju pozytywnego bohatera. Przeciwnie — raczej ma Krystyna, kiedy mówi, że jest on po prostu tylko młodszy, że lubi jeszcze wiersze i piosenki, urok przygody — Andrzej przecież też był niedawno taki...

„Nóż w wodzie” zaskakuje więc dojrzałością, zjawiskiem niezwykłym u debiutanta. Zaskakuje umiejętnością skupienia się na sprawach najistotniejszych, umiejętnością eliminowania wszystkiego, co rozbudowywałoby fabułę i postacie wszczepiając, nie w głąb. Temu samemu celowi służy również ograniczenie terenu akcji do wnętrza samochodu i samego jachtu, ograniczenie postaci do trzech osób. Ta w pełni zamierzona i jak najbardziej godna pochwały oszczędność (nie uszczuplająca oszczędność do roli markowania fabuły; cały ciężar narracji został przesunięty na grę aktorów i inwencję reżysera. I tutaj znów napotykać nie tylko na bogactwo tej inwencji, lecz także na świetne opanowanie dramaturgii i warsztatu. Polański potrafił bezbłędnie stopniować zagęszczenie atmosfery, cieniować poszczególne sytuacje, nie uciekając się do żadnych łamańców formalnych, tak, niestety, modnych u młodych natchnionych filmowców. Utrzymuje i pobudza zainteresowanie widza środkami bardzo prostymi, dyskretnie i niebanalnie, tak że przy całej wątpliwości akcji odnosiśmy wrażenie, że zaraz, za chwilę, zdarzy się coś niezwykłego. Pozbawione wszelkich tanich efektów są także zdjęcia J. Lipmana, który ani na chwilę nie uległ pokusom „ładnych”, malowniczych ujęć, świadomie unikając upiększania tła. Dobra muzyka Trzcińskiego-Komedy (to obecnie jeden z najlepszych ilustratorów filmowych w Polsce!), powściągliwa, wyrównane aktorstwo (Leon Niemczyk oraz dwie nowe twarze: Z. Malanowicz i amatorka J. Umecka, studentka muzykologii).

Tak więc film bardzo interesujący, ale nielatwy, choć na pozór prosty. Nie będzie przesady w twierdzeniu, że Polański należy do najbardziej utalentowanych filmowców polskich najmłodszego pokolenia.

5 minut z Zygmuntem Salatą



Milioniści grafiki znają dobrze tego utalentowanego i pracowitego plastyka; na każdej wystawie okrojowej składał Zygmunta Salatę swój „bilet wizytowy”, co najmniej jedną pracę. Charakterystyczny dla grafika Salaty jest ich jednolity charakter. Mogłoby ich nie podpisywać — zawsze rozpoznasz się je wśród powodzi innych bristoli.

— Pracuję głównie w kierunku dekoracyjności moich grafik, myślę zawsze o działaniu plam czarno-białych — mówi pan Zygmunt.

Niejednokrotnie czytaliśmy w odcinach z wystaw plastyków poznających o Zygmuncie Salacie, że jest grafikiem — indywidualistą.

— Toteż — odpowiada nam artysta — pozostanę wierny mojej koncepcji tworzenia. Szkoła takich grafików, jak Mondrian, Wroniecki, Burckiewicz, Olejnik — wskazała mi drogę, po której obecnie kroczę. A dobra to szkoła. Sukcesy poznających grafików, i o tym wiele się też pisało, mają miejsce nie tylko na „naszym podwórku”, to także cały kraj, to sukcesy na forum międzynarodowym.

Od paru lat „modne”, ale jakże pożyteczne są przeróżne kiermasze plastyki, chyba najskuteczniejsza broń w walce ze szmirą, z szpetotą anachronicznych oleodruków, czy malowideł domorosłych „artystów”. Sprzedawano tam także prace Salaty. Sporo z nich poszło także w świat. Ciekawe więc, co nasz rozmowny kontrahent może na ten temat powiedzieć.

— Moje prace wiszą w Kanadzie, NRK, NRF, w USA, Szwecji, Danii, Szwajcarii, także na Węgrzech, w Anglii i Austrii. Ale i w Radomiu... (mówi Salata nie bez figlarnego błysku w oczach) ...ostatecznie Radom to nie było co, to doroczny przegląd osiągnięć polskiej twórczości plastycznej. I tam właśnie teraz... też wiszą.

Rozmawiał: t. h. n.

Powyżej reprodukcja linorytu Zygmunta Salaty „Nad jeziorem”.

Feliks Fornalczyk

Nowa karta Gorzowa

Z początkiem stycznia tego roku kierownictwo teatru gorzowskiego objął Mirosław Smolarek, młody aktor ze szkoły Byrskich. Teatr, który ma w swojej oficjalnej nazwie imię Juliusza Osterwy, rozpoczął swój nowy etap dziejów od wystawienia sztuki Stefana Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka”, sztuki związanej z osobą patrona, jako że została napisana przez Żeromskiego dla Osterwy, Osterwa grał w niej rolę Przełęckiego.

Mirosław Smolarek zabrał się do roboty rażno. Postawił swemu teatrowi ambitne zadania. Nawiązał kontakty z Byrskimi. Liczy na wsparcie wychowanków szkoły Byrskich. Liczy na młody zespół artystyczny. I chyba się nie zawiedzie, ponieważ zapewniła im nie tylko możliwość gry, ale i satysfakcję artystyczną. Dla artysty ma przecież znaczenie nie tylko to, jak często i w jakiej roli jest obsadzany, ale i to, jaką wartość ma przedstawienie, w którym uczestniczy.

„Przepióreczkę” wyreżyserowała Irena Byrska. W najbliższym czasie teatr wystąpi z „Mazepą” Słowackiego. Nowemu dyrektorowi pomaga w doborze repertuaru Bogdan Danowicz. Pojechał do Gorzowa zaintrygowany, jak też będzie sobie radzić młody zespół z „Przepióreczką”. Na widowni komplet, sądzę, że równie zaintrygowany co ja. Danowicz występuje przed kurtyną i, wcześniej wprowadzonym zwyczajem, zapowiada nowe przedstawienie.

Kurtyna idzie w górę. Oczom widza ukazuje się wnętrze wiejskiej szkoły, zaprojektowane przez Irenę Burke. Wypełnia ją sala profesorowie. Z wolna poczynamy się rozeznawać w sprawach, jakie sprowadziły ich do Porę-

bian. Trudniej się tylko zorientować, who is who, które nazwisko aktorskie wiązać z określoną profesją naukową. Jest to chyba także efekt nadbyt powiesciowego potraktowania pierwszego aktu przez Żeromskiego.

W dalszym jednak ciągu sztuki dramat indywidualizuje się. Interesom zbiorowym przeciwstawiają się problemy osobiste.

Po wojnie sztuka Żeromskiego została poddana krytycznej rewizji, zwłaszcza w szkicu Jana Kofta, napisanym z okazji krakowskiego przedświadczenia „przepióreczki” w roku 1946. Owczesna ocena sztuki była drugocieczna, fałalistyczna. Toteż z tym większą satysfakcją przyjmowałem gorzowską „Przepióreczkę” jako sztukę o ciągle jeszcze obowiązującej aktualności. Sprawilo to zapewne miejsce wystawienia, łatwo nasuwające się na myśl wykorzystywania dla celów społecznych starych, zrujnowanych zamczysk i budowli.

Właśnie na ziemiach zachodnich problem to o nie przebrzmiałej aktualności. Nie przebrzmiała też tam działalność altruistyczna, społecznikowska, oświatowa. I nie zanikła linia podziału między życiem nauczyciela wiejskiego a uczącego z miasta uniwersyteckiego. Nie brak też tego typu konfliktów, jakie przytrafiają się trójkątomu Dorota—

Smugon—Przełęcki. Jedno, co straciło wszelkie znaczenie, to arystokratyczny gest księżniczki Sieniawianek.

Irena Byrska opracowała przedstawienie sztuki Żeromskiego w najdrobniejszych szczegółach. Tekst potraktowała jako dokument literacki przeszłości, który nie stracił bynajmniej związku ze współczesnością. Nie kazała go więc grać aktorom, ani przeciw Żeromskiemu, ani przeciwko publiczności. Przedstawienie jest wierne tekstowi, autorowi. Z wielką troskliwością odnosi się do wierności historycznej przedstawianego czasu, co potwierdza zarówno kostium, rekwizyty, jak i styl gry aktorskiej.

Wydaje mi się, że nie omyłem się, jeśli powiem, że spektakl „Przepióreczki” ma charakter warsztatowy, że Byrska uprzywilejowała tym razem swoje ambicje dydaktyczne, niezwykle przydatne ciągle zespołowi tak młodemu, tak potrzebującemu stałej, codziennej opieki reżysera-wychowawcy, jak zespół teatru gorzowskiego.

Upoważnia do takiego przypuszczenia zespół tego teatru, rzeczywiście bardzo młody, chłonny, ciekawy, łatwo dający posłuch kierownictwu. To wielka zaleta i szansa. Tekst sztuki Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka” daje okazję pokazania się i popisu zaledwie paru prowadzącym, wyraźnie zindywi-

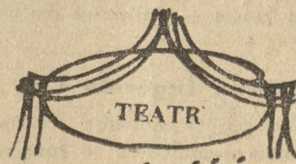
dualizowanym postaciom. Postacie te to przede wszystkim Smugon, Dorota, Przełęcki... Postacie ukształtowane z wielu warstw, z wielu odcieni psychologicznych, niestychanie tańco przeskakujące z jednej skrajności w drugą...

Postacie te składają się z cech szlachetnych. Potrafią być wspaniałomyślnie, potrafią się poświęcić. Ale mają też cechy pozornie przynajmniej dalekie od szlachetności. Potrafią być okrutne, wulgarnie szczere, to znowu w sposób wyrafinowany cyniczne. I to wszystko przedziwnie wymieszane w jednej i tej samej osobie. Cechy dobre lub złe ukazują się zależnie od zmiany sytuacji, w zależności od tego, jak lepiej poznają siebie i rzeczywiste pobudki działania partnerów.

A przecież owi młodzi aktorzy teatru gorzowskiego radzą sobie dobrze z utrudnieniami ról, są przekonywujący, szczerzy. Myślę tu przede wszystkim o odtwórcach tych właśnie złożonych postaci „Przepióreczki”, o Jerzym Jasińskim, Barbarze Bargielowskiej, Bogdanie Zielińskim. Dokonują może nawet więcej. Żeromski stworzył owe postacie w brutalny, raczej nienawistny sposób. Sympatie zdradza także w sposób brutalny i ostry, nie oszczędzając swoim bohaterom żadnego upokorzenia, i żadnego przykrego doświadczenia.

Owi wymienieni po nazwisku wykonawcy potrafili mimo to zaskarbić sympatię widza dla granych przez siebie postaci. Tłumacząc to wielką ambicją zespołu, miłośnicy dla swego zawodu i właśnie szczerością. Bardzo te zalety ważne dla teatru gorzowskiego.

Pod tym znakiem znajdują pierwszą kartę nowego rozdziału teatru w Gorzowie. Oby w ten sposób pisane były dalsze karty.



Radzieckie dyskusje literackie

W siewolod Koczetow — m. in. autor znanej u nas książki „Żurbinowie” — opublikował w leninogradzkim miesięczniku „ZWIEZDA” nową powieść pt. „Sekretarz Komitetu Obwodowego”. Zamierzaniem autora było ukazanie działalności partyjnego nowego typu, kształtującego się po przełomowym XX Zjeździe KPZR. Zasadniczy konflikt powieści polega na przeciwstawianiu moralno-etycznych i politycznych wartości oraz stylów pracy dwóch pierwszych sekretarzy sąsiednich komitetów obwodowych — Denisowa i Artamonowa; jest to konflikt społeczny, zrodzony w burzliwych latach po XX Zjeździe. Koczetow w fabularnej formie szuka odpowiedzi na główne problemy polityczne, ideologiczne i ekonomiczne tego okresu.

Powieść opublikowano we wrześniu, ale do dzisiaj jeszcze w prasie radzieckiej trwa ożywiona dyskusja na temat postawy Koczetowa wobec problemów politycznych, społecznych i moralnych ostatnich lat.

Czego dotyczy spór?

Oto A. Mariamow na łamach czasopisma „NOWYJ MIR” stwierdza, że Koczetow kreując Denisowa na działacza nowego typu przeciwstawił mu nosiciela starych negatywnych cech — Artamonowa, który „otoczył siebie atmosferą kultu, a zespołową myśl członków egzekutywy komitetu partyjnego — jednoosobowym dyktatem (...) dlań wszelką próbę krytyki oddolnej, szafuje karami i nagrodami, naganami i mieszkaniami, otacza się posłusznymi wykonawcami i pochlebcami i przy pomocy fałszywych meldunków o pomyślnej sytuacji (...) zdobywa odznaczanie i stawę, dopóki istotny stan rzeczy nie wychodzi na jaw; „przodujący” obwód okazuje się zafasany.”

Postać Artamonowa autor recenzji uważa za najbardziej żywą w powieści i reprezentującą jakąś prawdę życiową. Postać Denisowa recenzent określa jako papierowy, umowny schemat, o horyzontach myślowych ograniczających się „do prawd pospiesznie zaczerpniętych z dostępnych powszechnie źródeł”. Recenzent odmawia bohaterom powieści cech antagonistycznych, stwierdzając, że różni ich nie styl pracy i nie styl myślenia, lecz „nadane przez autora cechy etyczne: Denisow jest czysty moralnie, Artamonow zaś — zdolny do przekroczenia granic uczciwości; Denisow umie — po pewnych wahaniach, zrezygnować ze swych osobistych upodobań i uprzedzeń, Artamonow zaś w swych stosunkach z ludźmi kieruje się wyłącznie pobudkami natury osobistej”. Recenzent wyciąga przy tym wniosek, że obaj są działaczami w starym sensie tego pojęcia.

Swiadczy o tym to, że: „Denisow nie był na XX Zjeździe gościem. A komuniści, którzy wybierali delegatów na zjazd wierzyli, że ci, których obdarzą swym zaufaniem, będą świadomie i aktywnie uczestniczyć w przyjęciu i realizacji uchwał XX Zjazdu. Autor powieści „Sekretarz Komitetu Obwodowego” zapewnia nas, że jego bohater znajduje się wśród ludzi obdarzonych tym zaszczytnym zaufaniem. Ale odmawiając sobie prawa do wyrażania sądu, wewnętrznie się temu sądowi opierając, Denisow zawiódł zaufanie komunistów, którzy go na Zjazd wydelegowali. Z referatu NS Chruszczowa na XXII Zjeździe i z przemówień delegatów dowiedzieli-

świadczy o tym to, że: „Denisow nie był na XX Zjeździe gościem. A komuniści, którzy wybierali delegatów na zjazd wierzyli, że ci, których obdarzą swym zaufaniem, będą świadomie i aktywnie uczestniczyć w przyjęciu i realizacji uchwał XX Zjazdu. Autor powieści „Sekretarz Komitetu Obwodowego” zapewnia nas, że jego bohater znajduje się wśród ludzi obdarzonych tym zaszczytnym zaufaniem. Ale odmawiając sobie prawa do wyrażania sądu, wewnętrznie się temu sądowi opierając, Denisow zawiódł zaufanie komunistów, którzy go na Zjazd wydelegowali. Z referatu NS Chruszczowa na XXII Zjeździe i z przemówień delegatów dowiedzieli-

świadczy o tym to, że: „Denisow nie był na XX Zjeździe gościem. A komuniści, którzy wybierali delegatów na zjazd wierzyli, że ci, których obdarzą swym zaufaniem, będą świadomie i aktywnie uczestniczyć w przyjęciu i realizacji uchwał XX Zjazdu. Autor powieści „Sekretarz Komitetu Obwodowego” zapewnia nas, że jego bohater znajduje się wśród ludzi obdarzonych tym zaszczytnym zaufaniem. Ale odmawiając sobie prawa do wyrażania sądu, wewnętrznie się temu sądowi opierając, Denisow zawiódł zaufanie komunistów, którzy go na Zjazd wydelegowali. Z referatu NS Chruszczowa na XXII Zjeździe i z przemówień delegatów dowiedzieli-

świadczy o tym to, że: „Denisow nie był na XX Zjeździe gościem. A komuniści, którzy wybierali delegatów na zjazd wierzyli, że ci, których obdarzą swym zaufaniem, będą świadomie i aktywnie uczestniczyć w przyjęciu i realizacji uchwał XX Zjazdu. Autor powieści „Sekretarz Komitetu Obwodowego” zapewnia nas, że jego bohater znajduje się wśród ludzi obdarzonych tym zaszczytnym zaufaniem. Ale odmawiając sobie prawa do wyrażania sądu, wewnętrznie się temu sądowi opierając, Denisow zawiódł zaufanie komunistów, którzy go na Zjazd wydelegowali. Z referatu NS Chruszczowa na XXII Zjeździe i z przemówień delegatów dowiedzieli-

Dowodem są czyny

Pisarzowi Surkowowi odpowiedział na łamach pisma „PARTIJNAJA ŻIZN” sekretarz komitetu rejonowego partii N. Aksionow. Jego zdaniem postać Artamonowa jest wiernym uogólnieniem ludzi, którzy także w niższych ogniwach partii okazali się niezdolni do kierowania przy pomocy nowych metod. Natomiast Denisow, to jeden z wielu działaczy partyjnych, którym odpowiada atmosfera istniejąca od czasu XX Zjazdu. Nawiązując do oceny Surkowa, autor stwierdza, że Denisow „podobnie jak wielu komunistów, dowiedziawszy się o zbrodniach Stalina wobec partii i narodu, przez pierwszy okres był wstrząśnięty i oszołomiony”, potem szybko „zważył, zrozumiał i w pełni zaakceptował słuszną decyzję partii w sprawie kultu Stalina. Dowodem tego są jego czyny. A człowieka, jak wiadomo, sądymy nie według słów, lecz według czynów”.

Opr.: T. K.

SPÓR o BOHATERA

my się o wypadkach, które zaszyły w roku 1957 — w rok po potępieniu kultu osoby Stalina. Frakcyjna grupa antypartyjną składająca się ze zwolenników metod, które panowały za czasów kultu jednostki, usiłowała zagarnąć kierownictwo w partii i w państwie. „Członkowie KC, którzy byli w owym czasie w Moskwie — mówił w swym referacie tow. Chruszczow — dowiedziawszy się o frakcyjnej działalności grupy antypartyjnej w łonie Prezydium zażądali natychmiastowego zwołania KC”. Spróbujmy zadać sobie pytanie: czy można uobrazić sobie w ich gronie sekretarza stargorodzkiego komitetu obwodowego, Denisowa, z jego wszystkimi wątpliwościami, żałami i przeżyciami? To jest niemożliwe”.

Niedopuszczalne chwyt

W artykule redakcyjnym pod takim tytułem pismo „LITERATURA I ŻIZN” gwałtownie zaprotęstowało przeciwko recenzji Mariamowa. Oceniając powieść Koczetowa pismo uznaje, że Denisow występuje jako bohater antyagonista Artamonowa; widzimy tu starcie i walkę dwóch typów działaczy społecznych; działacz ożywczy ideałami Lenina odnosi zwycięstwo nad karierowiczem wychowanym w tradycjach kultu jednostki”.

Pismo zarzuca Mariamowowi, że manipulując wyrwanymi z kontekstu cytatami i w sposób dowolny interpretowanymi epizodami, doszukuje się w Denisowie dwulicowca i odradza go od partii, wyznaczając mu miejsce pośród frakcjonistów.

„Mariamow — czytamy — rozprawia się z powieścią zgodnie z wzorami, dla których nie ma już miejsca w naszym życiu. Podejrzany, napiętnowany, skazany — oto stara metoda, do której ucieka się krytyk.”

Zdanie Surkowa

Z zarzutem, że powieść Koczetowa nie ukazała swobodnego momentu, jaki przeżywa kraj i partia, wystąpił na łamach „LITERATURNYJ GAZIETY” — E. Surkow. Stwierdzając, że z kart powieści nie odczuwa się nowych treści, autor

Sięgnąć do korzeni!

Dokończenie ze str. 2

wicowim bowiem tamę klasę powinno także społeczeństwo.

Odezwa krakowska zwraca także uwagę na niedoceniany lek, tak bardzo skuteczny w higienie psychicznej: uśmiech, który nie nie kosztuje, uśmiech życzliwy, rozkładający najbardziej depresyjne stany u współtowarzysza pracy czy u podwładnego. Rozbrajając go z przygnębiającego nastroju, pomagamy nie tylko powstaniu właściwego klimatu w zakładzie pracy, ale i życiu rodzinnemu przysparzamy więcej słonecznych chwil.

Gdy do tego wszyscy zmierzać będziemy, nie trzeba będzie dostawiać łóżek w szpitalach i sanatoriach, wydawać pieniędzy na porady i zabiegi lekarskie, które — oby stały się zbędne.

JÓZEF PIEPRZYK

Eugeniusz Pauksza

Świadectwa walki

Narasta coraz pełniejszy obraz walki społeczeństwa polskiego z okupantem. Ożywa pamięć ludzi, poległych w obronie najświętszych wartości. Wszystkie te prace, to nie tylko żywa, świeża jeszcze historia, jej przekaz, ale także i nauka niejednej wartości dla młodych, dla wszystkich zaś przypomnienie i przestroga. Z wielu ostatnio wydanych z tego zakresu pozycji, wskazać chciałbym przynajmniej na te, które albo przynoszą obraz sumujący wydarzeń, albo wypuklają fragmenty partyzanckich dziejów mniej może znane.

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej opublikowało kilka książek o szczególnej wartości. Na pierwszym miejscu wymienić by należało pracę o charakterze zasadniczym, mianowicie „CENTRALNY KATALOG POLSKIEJ PRASY KONSPIRACYJNEJ 1939—1945”, w opracowaniu Lucjana Dobroszyckiego, przy współudziale Wandy Kiedrzyńskiej. Ogólna liczba objętych katalogiem tytułów wynosi 1123, przypuszczalnie około trzystu ukazujących się w okupację druków nie udało się już odnaleźć. Tylko Holendrzy wydawali więcej niż my, ale i tu ustępują Polsce, jeśli chodzi o liczbę pism ukazujących się regularnie przez cały czas okupacji. Wydawali także 41 pism w obcych językach, w tym 14 pism dywersyjnych w języku niemieckim. Katalog jest opracowany wedle wskazań naukowych, uwzględnia zaś tylko te czasopisma, jakie dochowały się w zbiorach publicznych. Drugą pracę, której znaczenie warto podkreślić, jest „ANTOLOGIA POLSKIEGO REPORTAŻU WOJENNEGO 1939—1945”, opracowana przez Stanisława Nadzina, zestaw prac, często drukowanych konspiracyjnie, wydanych poza krajem, nieznanych poza piśmiennictwem, w których się ukazały. Antologia powstała z inicjatywy Klubu Publicystów i Sprawozdawców Wojskowych przy SDP, przynosząc dowód spełnienia przez dziennikarza polskiego swego żołnierskiego obowiązku.

MON ogłosił także w pięknym wydaniu „BARWY WALKI” Mieczysława Moczara, wspomnienie generała, dowódcy obwodów kieleckiego, lubelskiego i łódzkiego GL i AL, wstawnego partyzanckimi walkami, umiejscowiając go w swych notatkach z ciepłą nutą patos minionych dni, jak też przechować pamięć niejednej pięknej sylwetki bojowników o wyzwolenie. W MON-ie też wyszedł skromny tomik „LU-

DZIE I WYDARZENIA” pióra Ignacego Robb-Narbutta, wspomnienia żołnierza, legendarnego dowódcy oddziałów partyzanckich w Kieleckiem, pisarza i społecznika. Niejeden z piszących pamięta go dobrze, że spotkał i dyskusji w Poznaniu, Warszawie, Zakopanem, pamięta jego ujmujący uśmiech i postawę pełną godności nawet w chwilach najbardziej dla niego trudnych. Dobrze, że do książki dołączono i piękny, bezpośredni wstęp Bohdana Czeskiego i wspomnienia o zmarłym w 1958 r. autorze, pisanie przez najbliższych mu kolegów, przyjaciół, pisarzy, podkomendnych i dowódców.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza opublikowała pracę dokumentarną Jerzego Markiewicza „PAPROĆ ZAKWITY KRWIĄ PARTYZANTÓW” obraz wielkich bitew w Puszczy Solińskiej w czerwcu 1944 roku, gdy przeciw potężnym oddziałom partyzanckim B.Ch., A.K., A.L. i partyzantów radzieckich, łącznie ok. 3500 ludzi, wystąpiła regularna, 30-tysięczna armia niemiecka. Dzieje boju pod Osuchami, sucha, beznamietna relacja, uzupełniona wykazami, aneksami, listami strat, to pozycja wstrząsająca swoją wymową, świadectwo hartu i odwagi żołnierza polskiego i radzieckiego.

Dobrze, że obok książek malujących szerszy obraz walk, ukazujących się pozycje, poświęcone pewnemu terenowemu wycinkowi. Tutaj zaliczyć należy ciekawą pracę Jana Ptasńskiego, „Z MAZOWIECKICH POL” („Książka i Wiedza”), wspomnienia partyzanta GL z terenów północnego Mazowsza, głównie z powiatu płońskiego, przyłączanego do Rzeszy, plastyczny i udokumentowany obraz ruchu oporu w tej części kraju. Jeszcze bardziej północny kraniec Polski ukazuje Aleksander Omilianowicz w książce „WYROK”, wydanej przez „Pojezierze” w Olsztynie, karta z dziejów ruchu oporu na Suwalszczyźnie.

Wydawnictwo Morskie rzuciło na księgarski rynek dokumentarną opowieść R. Bolduana i Mariana Podgórnego „BEZ MUNDUROW”, malującą ofiarne i bohaterskie dzieje okupacyjne gdyńskich harcerzy, najaktywniejszych bojowników „Gryfa Pomorskiego”. W katowickiej oficynie wydawniczej „Śląsk” ukazał się tom dokumentarnych opowieści Andrzej Wydrzyński „ODWROCONE NIEBO”, ukazujących dzieje walki podziemnej lewicy polskiej na obszarze Śląska, pisanych z żarliwością i szlachetną pasją.

Jak jest realizowany KPA

Dwutygodnik prawnospołeczny Prawo i Życie przynosi bardzo interesujący artykuł Henryka Starczewskiego pt. W zwierzchności praktyki poświęcony realizowaniu Kodeksu Postępowania Administracyjnego. Artykuł ten oparto na materiałach zebranych przez organy Prokuratury, które w IV kwartale 1961 r. przeprowadziły w dwunastu województwach badania dotyczące sędziów przesłuchania przepisów KPA w pracy organów administracji sędziów powiatowych (390 jednostek) i wojewódzkich (38 jednostek).

Na ogólną liczbę 66.822 spraw zarejestrowanych — zbadano 26.958.

„Obraz (...) nie jest optymistyczny, bowiem wśród zbadanych 26.958 spraw stwierdzono 22.231 uchybień różnym przepisom KPA. Statystycznie biorąc 82,54 proc. spraw załatwionych zostało z naruszeniem przepisów kodeksu postępowania administracyjnego (...). W większości przypadków błąd nie nadzwyczajnego środka prawnego przeciwko decyzji. Jednakże wadliwość postępowania, uchybień proceduralne świadczą, że ujemne zjawiska nie zostały za pracy naszych organów administracji wyeliminowane, że kodeks nie spełnił jeszcze nadziei, które społeczeństwo wiazało z jego wprowadzeniem w życie, że nie stał się jeszcze skutecznym orężem w walce o zrealizowanie prawa obywateli do sprawnej działalności administracji”.

H. Starczewski kończy swój artykuł siedmioma wnioskami, wśród których znajduje się także postulat szkolenia pracowników administracji. Niestety, Lektor ma jeszcze bardziej niewesołe spostrzeżenia. Niektórzy pracownicy administracji statystyką znają KPA, nie mówiąc już o tym, że w niektórych jednostkach brak tekstów KPA. Jak wówczas można myśleć o właściwym załatwianiu spraw?

LEKTOR



Targi Krajowe mało efektywne?

Dyrektor MTP Stefan Askanas opublikował na łamach Życia Gospodarczego artykuł p. Efektywność Targów Krajowych. Autor polemizuje z mnożącymi się głosami, jakoby wraz ze wzrostem obrotów na Targach Krajowych malała efektywność tej imprezy.

„Wartość umów, które zostały podpisane na I TK wiosną 1958 r. wyniosła 935 mln. zł. Na ostatnich Targach Jesiennych 1961 r. wartość tych umów wzrosła do 16.847 mln. zł, a więc prawie 17-krotnie. Już na pierwszej imprezie, wiosną 1958 r., okazało się, że koszty udziału w Targach Krajowych wynosiły mniej niż 1 proc. (około 0,8 proc.) ogólnej wartości zawartych na nich transakcji. Obliczenie kosztów organizacji ostatnich jesiennych Targów Krajowych wykazuje, że kształtowały się one w granicach 0,15—0,20 proc. uzyskanych obrotów targowych. Osiągnięto więc w sumie około 4-krotne zmniejszenie kosztów, w stosunku do tych, jakie poniesione zostały w związku z pierwszymi Targami Krajowymi”.

Również w Tygodniku Demokratycznym ukazał się artykuł przewodniczącego Komitetu Drobnej Wytwarzalności — Włodzimierza Lechowicza pt. Poznańska Wiosna 62. Autor stwierdza, że:

„Targi Krajowe w Poznaniu stają się coraz bardziej oczywistą i niezbędną formą pomocy dla zakładów drobnej wytwórczości celem pełnego wykorzystania ich zdolności produkcyjnych. Na Targach Krajowych zakłady te mogą bowiem zbywać nadwyżki towarowe nie zakontraktowane na gieł-

dach wojewódzkich i nie konsumowane przez rynek lokalny”.

Wł. Lechowicz podkreśla znaczenie gield funkcjonujących podczas Targów oraz rolę konkursu „Dobre, Ładne, Poszukiwane”.

„Istnieją podstawy do przypuszczeń — czytamy w zakończeniu artykułu — że Targi wykazały dalszy poważny postęp, że będą stanowiły dalszy kolejny gospodarczy awans drobnej wytwórczości, niwelujący stopniowo dystans, jakie oddzielał ją kiedyś od przemysłowców kluczowych”.

Wydaje się, że alarmowanie o małej efektywności Targów jest nieuzasadnione. Przedwcześnie obawy można obalić przy pomocy trzech argumentów: po pierwsze — koszt imprezy jest coraz niższy, po drugie — korzyści dla producenta są niewątpliwie i po trzecie — ułatwienia dla handlu — oczywiście.

Mieszkaniowa legenda Tatr

Znany ze swojej pasji i żarliwości dziennikarz Józef Muszkat-Jotem opublikował w Polityce artykuł pt. Legenda Tatr o sprawach mieszkaniowych w zimowej stolicy Polski. W referacie do spraw lokalowych Prezydium MRN w Zakopanem leży 1500 podań o mieszkanie. W latach 1961—65 dla wyprowadzenia osób z nadmiernie zagęszczonych lokali oraz piwnic i strychów potrzeba 2429 izb, a dla osób z domów przeznaczonych do rozbiórki — 658 izb. Zdaniem Muszkata sytuacja nie jest rozpaczliwa, bo w tym czasie budownictwo DBOR-owskie dostarczy 1102 izby, przykładowe — 54, spółdzielcze — 200, indywidualne — 1020, a z budownictwa starego wygospodaruje się kilkakrotnie izb.

Niestety, uchwała nr 239/61 Rady Ministrów z dnia 4 lipca 1961 r., która ma być gwarancją, że przydziały mieszkań będą sprawiedliwe, nie jest

właściwie realizowana. Na potwierdzenie tego autor podaje jedenaście adresów ludzi mieszkających w potwornych warunkach. Równocześnie w artykule znalazło się jedenaście adresów ludzi, którzy poprzednio mieszkali w znacznie lepszych warunkach i otrzymali nowe mieszkania. Autor kończy wnioskiem:

„Przykład Zakopanego powinien być dla wszystkich komórek naszej terenowej administracji ostrzeżeniem, iż w naszym kraju nie tylko obowiązują normy prawne i normy moralne, ale że są i będą egzekwowane z całą bezwzględnością”.

Trudno powiedzieć, czy jest to zjawisko typowe dla całego kraju. Na pewno większość organów administracyjnych stara się sprawiedliwie przydziały mieszkania, ale na pewno są i takie jednostki administracji terenowej, gdzie rzecz wygląda podobnie jak w Zakopanem. Dlatego właśnie Lektor zdecydował się na omówienie tego artykułu z „Polityki”, w której ostatnim wydaniu znalazło się przecież wiele innych godnych uwagi pozycji.

Co robisz?

Nowa Kultura i Głos Pracy ogłosiły wspólnie konkurs-ankietę pt. Co robisz? O poszczególnych pytaniach konkursu-ankiety: Czytasz? Korzystasz z radia i telewizji? Lubisz chodzić do kina, teatru lub na inne imprezy rozrywkowe? Lubisz śpiewać, pisać, recytować, występować na scenie? Ponad wszystkie pragniesz być turystą? Organizatorzy konkursu-ankiety chcą w ten sposób zbierać materiał dotyczący problemu wolnego czasu i przekazać go potem do opracowania socjologom. Zapowiadają również, że niektóre wypowiedzi będą publikowane przez obie redakcje, a równocześnie z tym rozpoczyna się swoich łamach akcję publicystyczną, która może i powinna wzbogacić rezultaty ankiety-konkursu.